

# Lech Paszkowski

---

## Marynistyka i biografie

---

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 384-394

---

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Marynistyka i biografie

Andrzej Chciuk, *Rejs do Smithton. Stary ocean*. Paryż: Instytut Literacki, 1960, 206, [1] s.; Bogumiła Żongolowicz, *Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów*. Kraków: Wydawnictwo Literackie, 221, [2] s., il. (brak recenzentów); Liliana Rydzyska, *Profesjonalna i moralna odpowiedzialność biografą*, *Archiwum Emigracji. Studia, szkice, dokumenty*, 2003 z. 5/6 s. 395–399.

### *La mer ce mauvais sujet*

(Georges Guy, *Mercur de France*, Paris 1933)

I. *Rejs do Smithton* Andrzeja Chciuka ukazał się nakładem „Kultury” w roku 1960, przeszło 46 lat temu. Na temat tej noweli nic dotąd nie pisałem, ani pisać nie zamierzałem. Niestety w zeszycie 5/6 „Archiwum Emigracji” w recenzji pod tytułem *Profesjonalna i moralna odpowiedzialność biografą*, na s. 397, zostałem wymieniony w roli profana. To co tu piszę, nie jest skierowane do miłej pani Liliany Rydzyskiej, ale do czytelników „Archiwum” jako po prostu wyjaśnienie zacytowanych moich słów.

Cytowane słowa nie były nigdy ogłoszone drukiem, ani też nie zamierzałem ich publikować. Zostały one wzięte z prywatnego listu, który pisałem do śp. kapitana żeglugi małej Bogdana Kołodzieja. List był pisany do przyjaciela i kolegi, a nie do druku. Udostępniając dr Bogumile Żongolowicz swoje zbiory nie miałem zamiaru wtrącać się do jej wyboru materiałów.

Geneza tego komentarza sięga roku 1960 gdy kapitan Kołodziej zatelefonował do mnie z Tasmanii, prosząc o komentarz, gdyż przeczytał *Rejs*, który go zirytował. Przeoczytałem nowelę. Pierwsze wrażenie przyniosło pewnego rodzaju podziw nad swadą pisarską autora tego utworu. Wydawało się, że jest w nim coś rzeczywiście conradowskiego. Miała zupełną rację Maria Danilewiczowa, oceniając literacką wartość noweli jako „conradowską”<sup>1</sup>. Przy zapoznawaniu się z innymi utworami Chciuka nigdy takiego uczucia nie doznawałem.

Jednak już przy początkowym czytaniu uderzyło mnie kilka szczegółów i *Postłowie*. Gdyby nowela miała tytuł „Rejs do Ikston” na wyspie „Fantazjola”, a autor podał otwarcie, że jest to fikcja miałbym dla niego dużo większe uznanie. Pisać przekonująco z fantazji nie jest łatwo. Lektura *Rejsu* jako noweli była prawdziwie zaciekawiająca i porywająca.

Natomiast z *Postłowie* dowiedzieliśmy się, że Chciuk pływał na statku „Leederry” jako kucharz. Wśród bohaterów noweli znajduje się również „Andy: Kucharz, grubas, emigrant...”. Była w tym sugestia, że autor doskonale znał się na sprawach, o których pisał. W rezultacie, nawet Maria Danilewiczowa doszła do wniosku, że autor był świetnym znawcą Tasmanii i wysp okolicznych „z powszednich i codziennych doświadczeń pracy na statkach lub w porcie, z kuchni okrętowej albo z nadbrzeżnych magazynów”. A dalej, że dbał „z widoczną troską o wierność tła i prawdopodobieństwo szczegółów”. Tak, istotnie, te dwa ostatnie zagadnienia są podstawą do sukcesu w literaturze marynistycznej. Nie należy ich lekceważyć, zbywać jako śmieszne „szczegółiki”. Żongolowicz w dociekliwych poszukiwaniach znalazła, że Chciuk był istotnie kucharzem na „Leederry” przez dziesięć dni, w tym na morzu najwyżej cztery. Na świadectwie zejścia ze statku, jakie widziałem, kapitan wypisał mu *Efficiency not proven*. Ponieważ, jak mi mówiono, Chciuk był dobrym kucharzem, więc można wnioskować, że na morzu chorował, skoro nie mógł wykazać się zawodową wydajnością. Osobiście nie chciałbym dostać tego rodzaju świadectwa, schodząc ze statku.

Przypadkowo Bogdan Kołodziej otrzymał, w grudniu 1957 r., propozycję dowodzenia keczem „Leederry” (125 ton), w zastępstwie kapitana, który miał wziąć urlop. Po przyjęciu oferty Kołodziej telefonował do mnie z Launceston, proponując bym odbył z nim kilka rejsów jako sternik. Pierwsze z nich opisałem w reportażu *Na chłodnym Południu* w londyńskich „Wiadomościach”<sup>2</sup>.

\* \* \*

<sup>1</sup> M. Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej półwiecza 1939–1989*. [Wyd. II rozszerz.]. Wrocław 1999 s. 279.

<sup>2</sup> L. Paszkowski, *Na chłodnym Południu: notatki z żeglugi*, *Wiadomości* 1958 nr 51/52 s. 26.

W roku 1964 Wydawnictwo Morskie w Gdyni opublikowało w 4250 egzemplarzach książkę Bronisława Miazgowskiego pod tytułem *Morze w literaturze polskiej*. Monografia liczy stron 288. Pozwolę sobie przytoczyć na wstępie chociaż kilka zdań z rozdziału IV. „*Sargassowe Morze*” *marynistyki*.

Co byśmy powiedzieli o pisarzu „ładowym”, który by orkę nazywał odwracaniem ziemi, orczyk mylił z dyszlem, komin fabryczny lokował na dachu słomą krytej chałupy, plodozmian mylił z bronowaniem, wóz drabiniasty nazywał dyliżansem, a traktor nie odróżniał od limuzyny? W książkach, których autorzy upodobili sobie szczególnie temat morski bez jego gruntownej znajomości, spotykamy bardziej zadziwiające — nazwijmy to delikatnie — nieporozumienia<sup>3</sup>. [Dalsze bardziej dosadne słowa opuszczam — L.P.]

Nie znaczy to, że książka o treści morskiej musi być naszpikowana fachową wiedzą i terminologią. Ale tam, gdzie autor rzuca jakiś szczegół, używa jakiejś nazwy czy opisuje wykonywaną czynność, nie może to zabrzmieć jak zgrzyt, dysonans, nie może być absurdem. Można nieraz przemknąć się nad tymi realiami, poprzestać na ogólnikach, ale potrzebnej, koniecznej wiedzy nie można pokryć ignorancją. Jak w każdej rzetelnej pracy, obowiązuje i tu rzetelność. Talent pisarski — to tylko połowa udanego dzieła. Druga połowa — to wiedza<sup>4</sup>.

Miazgowski nie zaważał się zwrócić uwagę autorom *Troi północy*, że na statkach Słowian z XI w. nie mogły „konie kwiczeć pod pokładem”<sup>5</sup>. Statki Wikingów i Słowian w tych czasach pokładów nie miały, chociaż gdy przewożono konie kładziono na dno podłogi, wznoszące się parę centymetrów od poszycia dna. Autorami *Troi północy* byli Zofia Kossak i Zygmunt Szatkowski. Przyznam, że nie lubię książek pod dwoma nazwiskami i rola drugiego pisarza w tym dziele jest dla mnie dotąd nieodgadniona. *Troja północy* leży w mojej bibliotece na honorowej półce, gdyż kiedyś studiowałem z zapalem historię Słowian Zachodnich i przeszło pięć lat niewolniczej katorgi wypadło mi przeżyć na ziemiach wytopionego narodu Obodryców. Ta księga miejscami zaczepia o ich losy.

Na głowę Miazgowskiego posypały się gromy i krzyki oburzenia. Jak można poprawiać uznanego pisarza!? W dodatku autorzy nie przyznawali się do błędu. W moim przekonaniu autor *Morza w literaturze polskiej* miał rację, nie uznając żadnego „tabu”, gdy napisano nieprawdę.

Przez setki lat kultura polska była wyłącznie śródłądowa i dotychczas słownictwo morskie nie weszło do świadomości Polaków. Jako motto do rozdziału IV, Miazgowski dał znane powiedzenie Sebastiana Klonowica: „Może nie wiedzieć Polak co morze, gdy pilnie orze”. Słusznie też zauważył, że „W Polsce [...] książka o treści morskiej nie może się jeszcze ukazać bez fachowego słowniczka i dodatkowych objaśnień. W Anglii, Norwegii — jest to zbędne”<sup>6</sup>.

Brak znajomości słownictwa morskiego wykazywał nawet tak wielki znawca polszczyzny jak redaktor Mieczysław Grydzewski. „Adiustując” moje artykuły poprawił raz „rzucanie” kotwicy na „zarzucanie”, a innym razem „maszyny” na O.R.P. „Burza” poprawił na „motory”. Posypały się wyzwiska, znawców morza i okrętów, na głowę autora. W przeciwieństwie do Zofii Kossak i Zygmunta Szatkowskiego, Grydzewski uznał swoje błędy, przeprosił i wydrukował sprostowania.

Prawdopodobnie również Jerzy Giedroyc nie był lepszym znawcą słownictwa morskiego niż Grydzewski, gdyż jako redaktor i wydawca *Rejsu do Smithton* nie zwrócił uwagi na tę stronę ciekawej noweli, a to leżało w jego zakresie.

\* \* \*

Wertując *Rejs do Smithton*, kartka po kartce, zwracałem uwagę, co mogło zirytować kapitana Kołodzieja. Na s. 16 mamy opis A.K. „Diana”: „Ketch [*sic!*] o 250 tonach wyporności. Dwumasztowiec, ma dwie śruby, dynamo i pomocniczy motorek Diesla...”. Czytelnik jest pod wrażeniem, że wzorem A.K. „Diany” był „Leederry”. W takim razie do czego podłączone są dwie śruby? Do

<sup>3</sup> B. Miazgowski, *Morze w literaturze polskiej*. Gdynia 1964 s. 119.

<sup>4</sup> Tamże, s. 121.

<sup>5</sup> Tamże, s. 146.

<sup>6</sup> Tamże, s. 122.

dynama czy do motorku? Autor, który był na keczu „Leederry” powinien był napisać, że statek miał dwie śruby i dwa motory Diesla. Kecz jest zawsze dwumasztowy, więc nie ma potrzeby aby powtarzać to samo znaczenie dwukrotnie. Niżej jeszcze jedno dziwne powiedzenie: „Bass Strait zawsze jest burzliwa, gdyż ściera się tu kilka prądów i wiatrów”. Prądy łączą się, albo schodzą, a wiatry dmą lub wieją, ale nie ścierają się. Na statki ładuje się „drewno”, a nie „drzewo”.

Pierwszy zgrzyt: dalej czytamy czytamy:

Gdy z morza nadpływa się do Tasmanii, widok jest wprost urzekający. Tyle różnej w odcieniach i nasyceniu zieleni nie spotyka się nigdzie indziej. Zieleń rozkłada się powoli na różne słoje, włókna, wzory, plamy, smugi, kreski, pasma i refleksy. Jest intensywna, żywa, szalona, obłędna, pełna miąższu i soku [...] Cienka kresa piaszczystych plaż plawi się w zieleni: jarmark zieleni, dżungla zieleni, wyprzedaż zieleni, licytacja zieleni, piekło i niebo zieleni<sup>7</sup>.

To jest świetnie, sugestywnie, z talentem napisane i nadawałoby się do pierwszego aktu sztuki Witkacego, osadzonego w Port Moresby na Nowej Gwinei. Ale Tasmania nie jest krajem tropikalnym ani podzwrotnikowym. Przez King Island przechodzi czterdziesty równoleżnik, a stolica Tasmanii Hobart znajduje się poniżej 42 stopnia. To znaczy na wysokości środkowej Patagonii, nie należącej do krajów słynnych z orgii zieleni.

Przypływając do brzegów Tasmanii, w okresie Bożego Narodzenia, widzi się kolory ciemne, szarawe, z trudem przypominające czarniawą zielenią. Tam gdzie prześwitują zeschłe łąki, linie brzegów nieco rozjaśniają plamy rudawe, rzadko żółtawo-słomiane. Chciuk pisze: „[...] wielodniowa posucha na wyspie stwarzała niebezpieczeństwo pożaru. Radio ciągle o tym przypominało i ostrzegało: *fire danger* ogłoszono na całej wyspie. Okres Bożego Narodzenia to pora największej suszy, ograniczono spożycie wody...”<sup>8</sup>. To zupełnie nie zgadza się z „obłędną” zielenią „pełną miąższu i soku”.

Nawet lesisty pas Półwyspu Helskiego, widziany od strony pełnego morza, w ponury i deszczowy wieczór, z pokładu „Daru Pomorza”, pozostał w mojej pamięci bardziej zielony, niż ujścia rzek Tamar i Mersey w Tasmanii, gdzie wprowadzałem statki jako sternik.

Może z dziesięć razy, płynąc na motorowcu „John Franklin”, którego współwłaścicielem był kapitan Kołodziej, obserwowałem przez łornetę wybrzeża Perkins Bay. W głębi zatoki, o jakie cztery mile, leżało ujście Duck River, prowadzące do Smithton. Wzrok uderzał zawsze widok, nie orgii zieleni, ale wyniosłej góry, po wschodniej stronie tej zatoki, zwanej The Nut. Wznosi się ona stromo, nad plażą i portem Stanley, 140 metrów w górę. Wyglądała jak olbrzymi rondel lub wulkan o ściętym w połowie wierzchołku, widoczny z odległości 30 mil morskich. Stanley dzieli od Smithton w linii prostej około 14 kilometrów. Obserwując ujście Duck River widziałem wydmy, piachy i błota zalewane słoną wodą pływów, które w tym miejscu osiągały prawie trzy metry. Zieleń na Perkins Island była ledwo widoczna.

\* \* \*

Jeżeli autor opisuje miejsca o prawdziwych nazwach geograficznych — to do czegoś obowiązują. W połowie roku 1966 Grydzewski przysłał mi książkę Normana Sherry’ego pt. *Conrad’s eastern world* (London 1966), zamawiając jednocześnie jej recenzję<sup>9</sup>. Czytałem dziesiątki książek na temat Conrada, ale monografia Sherry’ego była niezwykle wzbogaceniem wiedzy biograficznej o Korzeniowskim. Autor odkrywał, z pasją detektywa, prototypy postaci powieści Conrada, jak i realia miejsc geograficznych skąd brał tła do opisów literackich. Bogactwo faktów było ciekawsze niż psychologiczne rozważania biografów. Sherry dowiódł jak opisy Conrada doskonale oddawały wygląd rzek, portów i miast, skąd wziął materiały do swojej twórczości literackiej. Na przykład opisane przez Conrada szalasy nad rzeką Berau, na wyspie Borneo, można było znaleźć i fotogra-

<sup>7</sup> A. Chciuk, *Rejs do Smithton. Stary ocean*. Paryż 1960 s. 16–17.

<sup>8</sup> Tamże, s. 72.

<sup>9</sup> Por.: L. Paszkowski, *Conrad i Daleki Wschód*, Wiadomości 1967 nr 8 s. 3; tenże, *Na australijskiej kanwie*, [w:] „Wiadomości” i okolice. *Szkice i wspomnienia*, t. 2, red. i oprac. M. A. Supruniuk. Toruń 1996 s. 235–254.

fować, a nawet rysować trasę jego spacerów w Singapore, zwanym zwykle Wschodnim Portem. Później Sherry wydał drugi tom, *Conrad's western world* (Cambridge 1971). W jego ślady poszedł Amerykanin Ian Watt, wydając *Conrad in the nineteenth century* (Berkeley 1979)<sup>10</sup>, zwracając jeszcze większą uwagę na wątki literackie. Watt opracował również drugi tom, *Conrad in the twentieth century*, korzystając ze współpracy Sherry'ego. W Polsce poszedł w te ślady Zdzisław Najder, wydając dwutomowe *Życie Conrada-Korzeniowskiego* (Warszawa 1996) i powołując się na obu wspomnianych autorów. W nowelach Conrada realia tła były zawsze bezbłędne. Inna sprawa, że będąc marynistą *par excellence* Conrad nigdy nie był „piewą” morza. Tematami jego utworów był zawsze człowiek i jego poczucie lojalności w stosunku do idei lub innych ludzi.

\* \* \*

Wracam do *Rejsu do Smithton*. Na s. 19 „Donald wyskakuje na molo, biegnie z liną i okręca cumę na żelaznym palu”. Cumy nakłada się, albo zdejmuje, ewentualnie wiąże węzeł cumowy, ale nie okręca. Town Pier w Smithton zbudowany jest z pali drewnianych. Żelazne polery spotyka się tylko przy betonowych nabrzeżach.

„[...] Diana” minęła światła latarni morskiej w Queenscliff. Czekalo ją jeszcze 30 godzin spokojnego przepychania się przez niemrawe na razie morze. [...] światła Queenscliff zniknęły, rozplynęły się w nocy: gdzieś z lewej migotały światelka Kings [*sic!*] Island i Wyspy Trzech Hamaków<sup>11</sup>.

Czytelnik może narysować sobie linię od Queenscliff czyli wyjścia z Port Phillip Bay do Smithton. King Island leży po prawej stronie, ale tak daleko od kursu, że niemożliwe byłoby obserwowanie światel tej wyspy. „Diana” mogłaby dopłynąć do King Island w najlepszym wypadku po 12 godzinach czyli nad ranem. Ważniejsze od światelek są na King Island dwie potężne latarnie morskie, w porcie Currie i na Wickham Point.

Three Hummocks Island również leży po prawej stronie kursu, tuż przy brzegach północnej Tasmanii i dziesiątki mil na południe od King Island. W dodatku jest to wyspa bezludna i nie ma na niej żadnych światelek, oprócz latarni na Przylądku Rochon. Lepiej też nie tłumaczyć obcych nazw geograficznych na polski, bo często wychodzą z tego różne nieporozumienia. Three Hummocks Island znaczy po polsku Wyspa Trzech Wzgórz, a nie hamaków.

Na s. 21 pojawia się okręt-widmo, które Chciuk przedstawił jako scenę swojego dramatu. Nie wiadomo dlaczego wybrał do tego tankowiec, opowiadanie wyszłoby bardziej wiarygodnie, gdyby był to zwykły frachtowiec lub drobnicowiec. Szczególnie gdy autor podkreślił, że działo się to w „wieku radaru i elektroników”. Pokłady zbiornikowców są zwykle bardziej niebezpieczne, nie tylko dla marynarzy ale i dla literatów. Miało to za cel zapewne podniesienie dramatyczności tła noweli. Na następnej stronie „morze [...] wre i syczy przelamującymi się falami sztormu”. Ale nieco dalej „«Diana» przytuliła się do S/S «Christchurch»”<sup>12</sup>. Gdyby przy takim stanie morza drewniany kecz „przytulił” się do burty frachtowca, to zostałyby z niego drzazgi.

Najbardziej charakterystyczną cechą sylwetek zbiornikowców jest wąski pomost komunikacyjny, którym można przejść od samej rufy, aż na dziób. Na mocno załadowanych zbiornikowcach fale przelewają się przez pokład i dlatego konstruowano te pomosty. Są one szczególnie ważne w razie zagrożenia wybuchu pożaru. Na tankowcu z *Rejsu do Smithton* tego pomostu nigdzie nie widać.

Statki handlowe podnoszą banderę tylko, gdy wchodzą do portu, ale nie na pełnym morzu. Jeśli jest obawa, że statek może zatonać banderę się zabiera, a nie zostawia na flagsztoku. Najdziwniejsze, że opuszczony tankowiec miał „tłące się deski pokładu głównego na śródkręciu, międzypokładu z prawej burty, obudowę rury wentylacyjnej, a także płonące oszalowania pomieszczeń załogi [...]”<sup>13</sup>.

Nigdy nie widziałem tankowców z drewnianymi pokładami. Na zbiornikowcach nie widać ani źdźbła drewna. Pod pokładami ze stali znajdują się zbiorniki, ale nie drewniane międzypokłady.

---

<sup>10</sup> Wydanie polskie: *Conrad w wieku dziewiętnastym*, przekł. M. Boduszyńska-Borowikowa. Gdańsk 1984.

<sup>11</sup> A. Chciuk, *Rejs do Smithton*, s. 20.

<sup>12</sup> Tamże, s. 22–23.

<sup>13</sup> Tamże, s. 23.

Zadziwiająca jest ta „rura wentylacyjna”, obudowana drewnem, jak i „plonące oszalowania pomieszczeń załogi”. Dwie strony wcześniej autor zapewniał nas dwukrotnie, że na statku panowała „ciemność”, w dodatku „zageszczona”. Wobec tego jak się paliły „plonące oszalowania”, to nie było tego widać przez okienka kajut pomieszczeń załogi, a „żarzące się deski” pokładów nie wydawały najmniejszego blasku. Na tym tankowcu załoga „Diany” wygaszała „żarzące się deski” gaśnicami, a potem „wyciąganą kubłami wodą”. Dziwny to sposób likwidowania pożaru „w epoce radaru i elektroników”, gdy każdy statek ma pompy ciągnące wodę z za burty.

W sterówce znaleźli szałuplan, zorientowali się więc, że zbiorniki były niedawno przebudowane, okręt wyszedł z remontu w Bergen zaledwie pięć miesięcy temu<sup>14</sup>.

Szałuplan był ważnym dokumentem, ale przydatnym na drobnicowcu. Jest to plan rozłożenia ładunku na statku, przygotowany przez maklera, wykazujący jakość towarów, kolejność wyladowania i rodzaje opakowania. Na tankowcu wystarczy mieć plan zbiorników. Oficer Fox powinien był szukać planu grodzi wodoszczelnych i grodzi przeciwpożarowych, a przede wszystkim sprawdzić czy zawory zbiorników są zamknięte.

Fox zdawał sobie też sprawę, że „pod pokładem mogą również gromadzić się gazy, groziłoby to rozerwaniem statku”<sup>15</sup>. Dziwne, że w takiej sytuacji beztrząsowo pozwalał marynarzom na ustawiczne zapalanie papierosów i zapalek. W innym miejscu wspomniano, że w zbiornikach jest ropa.

Dla każdego, kto jest nieco obeznany z budową statków najbardziej szokujący jest opis na s. 30: „Foxowi [...] przysłała do głowy myśl, że przepalony i nadniszczony pożarem pokład mógłby się nagle osunąć i zapaść w dno statku, nie wytrzymując ciężaru maszyn i kotłów”.

Przedziwna historia. Okazuje się, że tankowiec Chciuka miał maszyny i kotły na pokładzie! W takim razie jego napędem było chyba śmigło lotnicze, obracające się w powietrzu. Czyż trzeba wyjaśniać, że maszyny czy motory umieszczone są zawsze na dnie statku. Pod nimi jest niska żęza. Maszyny służą do poruszania śrub, z którymi połączone są poziomymi wałami. Tymczasem Fox, który był oficerem mający, że na tankowcu pod pokładem jest jakaś przepastna próżnia! Jakby nie wiedział, że każdy pokład jest oparty na poprzecznych belkach stalowych, zwanych pokładnikami, że pod nimi są stalowe zbiorniki.

Następuje punkt kulminacyjny, tankowiec „Eureka” tonie, w ciągu jednej minuty. Dziób ulatuje „ku gwiazdom”, chociaż na poprzedniej stronie „wokół zageszczala się mgła”. „Napierająca fala musiała roznieść sterówkę”. Sterówka, mała oszklona kabina, ochraniająca ster, mogła się znajdować na keczu „Leederry” czy na „Dianie”. Na tankowcach nie ma sterówek, ale są sterownie, zwykle połączone z kabinami nawigacyjnymi, zajmujące całą szerokość statku. Sterówka na keczu może mieć cztery lub pięć metrów kwadratowych, na zbiornikowcu sterownia byłaby pięć razy większa. Nie ma mowy by stalową konstrukcją sterowni mogła rozbić fala.

Po zatopionym tankowcu ukazuje się na powierzchni, jak po starym zagłowcu, masa drewna, „deski, beczki, szczętki sprzętów, ławki pokładowe”, ale ani śladu płam ropy.

Kiedyś opisałem, jak pięciu lotników australijskich przewróciło na morzu wspólnymi siłami, nadmuchaną powietrzem gumową dinghy<sup>16</sup>. Chciuk podaje, że kucharz Andy i marynarz Charlie „jakimś nadludzkim wysiłkiem” przewrócili szalupę. Nie można przewrócić ciężkiej łodzi, wypierającej kilka ton wody, mającą nogami w morzu.

Koniec przygody. „Na holownikach rozbłysły reflektory, ktoś kazał rzucić sztormtrap, inny głos wrzeszczał aby wypuścić rzutki...”<sup>17</sup>. Co za fantastyczny nonsens! Zamiast rzucać koła ratunkowe, ktoś wrzeszczy, żeby wypuścić rzutki! Wypuścić można balonik, ptaszka z klatki, albo latawca ku uciesze dziećmi. Wydaje się że Chciuk nie wiedział jak wygląda rzutka i do czego ona służy. Rzutka jest to ciężarek około pół kilograma wagi, kawał ołowiu, a w jego braku nawet woreczek z piaskiem, który oplata się siatką sznurową. Do ciężarka przymocowuje się cienką i wiotką linkę, długości kilkadziesiąt metrów. Koniec linki przywiązuje się węzłem ósemkowym do oka cumy. Gdy statek podchodzi do nabrzeża rzutkę, wyrzuca się na molo, jak ręczny granat. Tam portowcy podejmują rzutkę i przy pomocy linki wyciągają cumę zakładając ją na poler. Rzutki znajdują się również na holowni-

<sup>14</sup> Tamże, s. 24.

<sup>15</sup> Tamże.

<sup>16</sup> L. Paszkowski, *Kawaler „Złotej Rybki”*, *Wiadomości* 1957 nr 21 s. 4.

<sup>17</sup> A. Chciuk, *Rejs do Smithton*, s. 50.

kach w celu podania w podobny sposób liny holowniczej. Oplata się rzutkę dlatego by w razie przypadkowego trafienia nią człowieka, zmniejszyć możliwość zranienia.

Wypuścić rzutki w ciemnościach nocy gdzie? Za burłę? Aby momentalnie zatoneły i stworzyły niebezpieczeństwo wkręcenia się w śruby? Fantastyczny nonsens.

Tankowiec Chciuka „Eureka” zatonął z nieznanych przyczyn. Oficer Fox stwierdził, że burty statku nie były gorące, więc nity nie były rozgrzane. Znane na całym świecie stocznie norweskie w Bergen nie wypuszczają statków z nadzartymi rdzą nitami. Zbiorniki z ropą nie zapaliły się, wybuchu nie było, tylko spłonęły te nieszczęsne deski pokładów.

Kto opowiadał brednie o maszynach i kotłach na pokładzie? Fox, oficer marynarki handlowej. Nic nie wiemy o jego karierze na morzu. Siedział w kabinie oglądając albumy filatelistyczne, zamiast pilnować czy statek idzie dobrym kursem, szczególnie o zmroku. Dziwny oficer marynarki. „Nienawidzi morza”. Jego głównym zainteresowaniem jest totalizator i *bookmaking*. Gdy są wyścigi w Melbourne, cała załoga w kabinie kapitana [*sic!*] siedzi, słuchając radia.

„Diana” płynie wtedy samopas, jak chce i może, jak ją fale, czy wiatr zadryfuje: dopiero po wyścigach Fox sprawdza przyrządy nawigacyjne i naprostowuje „Dianę” na właściwy kurs<sup>18</sup>.

Jest to zupełnie nieprawdopodobne by kapitan i jego oficer bez cienia odpowiedzialności za statek i ludzi, pozwolił dryfować okrętowi bez żadnego nadzoru. Chciuk w tym wypadku nie uchwycił mentalności marynarzy. Nie może być nic ważniejszego dla marynarza jak statek, na którym płynie.

Na końcu podawał Chciuk w formie *acknowledgement*, że:

[...] z podobnym wypadkiem, zatonięcia opuszczonej przez załogę francuskiej bazy wielorybniczej „Janina” na Morzu Północnym, spotkałem się w którymś z krajowych magazynów. Autora, ani nazwy magazynu niestety nie pamiętam. Statek poszedł wówczas na dno w 30 sekund<sup>19</sup>.

Na liście francuskiego biura ubezpieczeniowego „Veritas”, odpowiednik brytyjskiego Lloyd, bazy wielorybniczej „Janina” ani „Janine”, z lat 50., nie było. Znaczy to, że domniemany reportaż był fikcją. Nawet ciężko załadowane statki, z drugiej wojny światowej, po trafieniu torpedą utrzymywały się na powierzchni dłużej niż 30 sekund. Wypieranie powietrza ze wszystkich pomieszczeń zabiera czas, a baza wielorybnicza to duży statek.

*Rejs do Smithton* miał szansę na wejście do niklej marynistyki polskiej jako ważna pozycja. Niestety nie został dopracowany pod względem realiów morskich i okrętowych. Być może nowela pisana była w zbyt wielkim pośpiechu. Dziwne też, że nie zauważył tego wydawca i redaktorzy tomu.

II. Mieczysław Grydzewski przypominał mi czasami, że według niego polemiki są zwykle niepotrzebną stratą czasu. Toteż i w tym rzadkim wypadku, gdy piszę komentarz, nie będę nikogo przekonywał, że mam absolutną rację, bo mi na tym nie zależy. Nie będę też wymagał, by wszyscy myśleli podobnie jak niżej podpisany. Jeżeli piszę to jedynie by dać znać czytelnikom, że można mieć nieco inne zdanie niż Liliana Rydyńska w swojej recenzji, o trochę dziwnym tytule, *Profesjonalna i moralna odpowiedzialność biografą*. Nie znajduję też żadnej satysfakcji w robieniu komukolwiek przykrości.

Biografie są pewnego rodzaju portretami, malowanymi piórem. Portrety mogą być ukazywane w różnym świetle, pod różnymi kątami widzenia i w różnym kolorycie. Stworzenie takiego czy innego wizerunku zależy tylko od artysty. Osobiście nie miałbym pretensji do malarza, że stworzył kompozycję według własnego pomysłu. Mógłbym protestować jedynie, gdyby portret przedstawiał ohydny karykaturę.

Książki biograficzne mogą być pisane z różnym podejściem, na przykład panegiryczne, w których nie wolno umieścić ani jednego zdania krytycznego. Mogą być też groteskowe, jak *Niemcewicz od przodu i tyłu* (Warszawa 1939), Karola Zbyszewskiego, albo „odbrązowiające”, pisane zwykle przez miernych autorów, pragnących zabłysnąć na świeczniku przez atakowanie uznanych

<sup>18</sup> Tamże, s. 14.

<sup>19</sup> Tamże, s. 100.

postaci. Bywają też biografie mające na celu zniszczenie dobrej sławy, pisane z nienawiści do opisywanej osoby, stając się paszkwilami. Są to wypadki rzadkie.

Bogumiła Żongolowicz wydała parę lat temu biografię Andrzeja Chciuka *Pisarz z antypodów* (Kraków 1999). Do tematu swojej pracy przystąpiła z wrodzonym jej entuzjazmem, traktując bohatera swej pracy ze szczerą życzliwością. Trudno by było inaczej. Moim zdaniem portret namalowany jest pozytywnie, ale nieco wyretuszowany. To znaczy przedstawiony w najlepszym świetle. Na okładce widnieje na fotografii najpiękniejsza z podobizn Andrzeja Chciuka, jakie widziałem. Książka miała szereg pochlebnych omówień w prasie.

Na wstępie swojej recenzji Rydyńska kwestionuje powiedzenie Mariana Hemara, współczujące poecie Chciukowi samotności i braku środowiska w „dalekiej Antypodii”. Czyż nie skarżył się wysoce utalentowany pisarz Zbigniew Jasiński: „Ciężko jest być samemu. Ciężko jest być odcięty od swoich, być niczym wśród obcych i myśleć, myśleć, myśleć”<sup>20</sup>. Skargę tę w powtórzył w wychodzących w Sydney „Wiadomościach Polskich” (1.04.1956):

Ciężko jest być buchalterem, gdy się było — gdy się wciąż jest pisarzem. Ciężko jest nie móc pisać, czas niepowrotnie gubiąc na zdobywanie chleba powszedniego. [...] Ciężko, strasznie i samotnie jest palić za sobą własne mosty.

Jeśli kto wątpi o wielkości talentu Jasińskiego, niech zajrzy do opowiadania *Na obcej planecie*<sup>21</sup>. Na tamtych stronach, w nielicznych zdaniach, między innymi wignetkami, pokazał rąbek rzeczywistości, w jakiej żył. Tamże skarżył się, że go „los zatknął jak tykę samotną w pustym kręgu, konającego kontynentu, wypalonej Australii”.

Samotność, izolacja kulturalna, ciężka praca buchaltera, od rana do nocy, zabiła talent Jasińskiego. Nikt nie rodzi się od razu pisarzem, ale dzieckiem uzdolnionym literacko lub takich talentów pozbawionym. Na formowanie się przyszłego pisarza wpływa krąg rodzinny, szkoły i środowisko w jakim się obraca. Życiorysy pisarzy były bardzo różne i nie ograniczały się do samotników. Nie brakowało przykładów szczęśliwej egzystencji wśród rodziny i przyjaciół. Na pewno oderwanie się od rodzimego środowiska i kultury, w której się wyrosło, jest wstrząsem. Do tego przeniesienie się na krańce cywilizowanego świata, nie wpływa dobrze na rozwój talentu, szczególnie dla polskiego pisarza.

Australia może być doskonałym tematem do książki podróżniczej czy reporterskiej. Ale dla literata piszącego po polsku, który osiadł w tym kraju, atmosfera twórcza nie była nigdy sprzyjająca.

Pisze Lilianna Rydyńska, że każde „polskie środowisko” piszących „ignoruje i niszczy”. Polskę pamiętam przedwojenną. Cieszono się w Warszawie, gdy młody pisarz Jerzy Andrzejewski wydał *Lad serca*, gdy Janusz Stempowski dostał nagrodę marynistyczną im. Szareckich za *Legendę o masztowej słońce*, gdy kapitan żeglugi wielkiej Stanisław Kosko został laureatem Polskiej Akademii Literatury za reportaż *Przez trzy oceany*. Sukcesy literatów radowały wszystkich. Nikt niktogo z piszących nie niszczył.

Czy zespół „Kultury” w Paryżu niszczył kogokolwiek? Chyba raczej pomagał polskim pisarzom, włącznie z Chciukiem, również obcym. Czy Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie nie pomagał kolegom po piórze? Czy „Akademia Grydzewskiego” czyli jury Nagrody „Wiadomości” niszczyła piszących? Od teje „Akademii” dostał Chciuk nagrodę, jak również od „Kultury” Giedroycia<sup>22</sup>, a książki jego były wykupywane przez czytelników.

Emigracja nigdy nie była najlepszym polem dla pisarzy, szukających powodzenia i rozgłosu. Diaspora ograniczona zarówno swą liczebnością i bliskościami w osiedleniu się na obczyźnie nadmiaru odbiorców literatury nigdy nie miała. Emigracja z natury jest przypadkowym zbiorowiskiem ludzi, nie mających ze sobą wiele wspólnego, ani w pochodzeniu ani w wykształceniu i nie jest przekrojem normalnego społeczeństwa. Zwykle też, gdy po pewnym czasie i tarciach jednoczy się w jakąś wspólnotę, napływa nowa fala przybyszów, która ją rozmywa, jeśli nie rozbija, wpro-

<sup>20</sup> Z. Jasiński, *Z cyklu „Teorie bez «wz»”*: *Życzenia odludka*, *Wiadomości* 1956 nr 12 s. 1.

<sup>21</sup> Tenże, *Na obcej planecie*, *Kultura* 1954 nr 7/8(81/82) s. 3–10.

<sup>22</sup> A. Chciukowi przyznano Nagrodę „Wiadomości” za *Atlantyde*, która została uznana za najwybitniejszą książkę polską wydaną na emigracji w 1969 r.; nagrodę literacką „Kultury” otrzymał w 1955 r. za zbiór opowiadań pt. *Smutny uśmiech*.



wadząc odmienne zwyczaje i idee oraz tworząc nowy ferment. Pisarzom trudno jest znaleźć wśród emigrantów osoby o podobnym zapleczu.

Lilianna Rydzyńska wyróżniła „środowisko polskiej emigracji” w Melbourne, jako szczególnie napastliwe i pałające „chęcią zniszczenia” Andrzeja Chciuka. Środowisko to powstało na moich oczach i nie myślę by było gorsze, ani lepsze, jak w innych stolicach stanowych Australii. Nic nie dzieje się bez powodu. Gdy w roku 1957 ukazała się, nakładem „Kultury” nowelka *Smutny uśmiech* to czytelnicy w Sydney, Adelaide, Brisbane, w Paryżu i Londynie, widzieli postaci noweli, szkicowane dowcipnie, z talentem, chociaż czasami złośliwie. Natomiast w Melbourne, pomimo, że autor zasłonił się fikcyjnością utworu, każdy rozpoznawał Zygmunta Żerdzickiego jako Ziarnickiego, Wacława Lewulisa porównano z Lisem, Maria Spielrain — Maria Spielman, Leopold Muszkat — Cynamon, Roman Gronowski — Winowski, konsul Zygmunt Przybylkiewicz — konsul Kobylkiewicz, itd., itp.

Oidium portretowanych spadło na Chciuka. Utrata popularności nie powstrzymała go by w innych książkach o emigrantach dalej nie wtrącać cienko zawoalowanych nazwisk i postaci z Melbourne. Powstała więc, u niektórych obrazonych chęć odwetu czy zemsty. Mnie się wydaje, że częściej atakował Chciuk niż atakowano Chciuka.

Jerzy Giedroyc, przeglądając jego rękopis innej książki, zwracał uwagę Chciukowi, że widzi „[...] szereg sylwetek [...] przerysowanych, zbyt niedyskretnych, czasami robiących wrażenie nawet nie bardzo smaczne...”<sup>23</sup>.

Nie bardzo rozumiem znaczenia zdania z recenzji Rydzyńskiej „[...] że słynnej z agresji i kołtuństwa emigracji — po prostu i jak zwykle, jeszcze raz się... upiekło”<sup>24</sup>. A gdyby się nie „upiekło”, to co by się stało?

Zarzutem dla Bogumily Żongolłowicz jest, że:

Wymieniając w [...] jedynym miejscu również Lilianę Rydzyńską autorka wyraźnie pomija jej twórczość w Australii, jej publikacje [...], jej pisemną reakcję — obronę Chciuka wobec napaści na niego, a przede wszystkim jej obecność w życiu pisarza jako kolegi po piórze i bliskiego sąsiada na Adams Street; ich współdziałania w wieczorach literackich i autorskich oraz ich subtelna przyjaźń w tych jej melbourneńskich latach<sup>25</sup>.

Tematem książki *Pisarz z antypodów* był Andrzej Chciuk, a nie jego przyjaciele. Zwiększenie objętości książki do ponad 400 stron mogło zamknąć możliwości jej wydania w Polsce. Niemal jednocześnie z ukazaniem się omawianej tu biografii, wyszedł w Wiedniu, tom IV *Symposium Biografistyki Polonijnej*, pod tytułem *Losy Polek*. Bogumila Żongolłowicz zamieściła tam, bardzo życzliwie ujęty, szkic biograficzny o Lilianie Rydzyńskiej, omawiając również jej dorobek pisarski<sup>26</sup>. W dodatku wygłosiła na ten sam temat odczyt na Zjeździe.

Przeczytałem w tym szkicu m.in., że Rydzyńska „czuła się w zasadzie dobrze jedynie w swoim środowisku literackim”<sup>27</sup>. A więc było coś z prawdy w tym, co powiedział Marian Hemar. Potrzebne jest jednak środowisko, koledzy, krytycy. Pisarze polscy w Australii takiego środowiska nie mieli. Chciuk w przyływach dobrego humoru nazywał siebie „latarnikiem z łódzką”. Wszyscy piszący w Australii byliśmy „latarnikami” w sienkiewiczowskim sensie, a przyjaciół czy dusz pokrewnych można było znaleźć licząc na palcach. W dodatku Melbourne ma sto kilometrów średnicy, do Canberry 400 km, do Adelaide 600, do Sydney 1000, do Brisbane 1500, do Perth 2000 kilometrów. Jak tu można było odnawiać spotkania z przyjaciółmi.

Trudno się zgodzić, że biografia Chciuka była pisana po dziennikarsku i jako „pewnego rodzaju źródło sensacji”. Podejście autorki było poważne i sumienne. Nie wahała się nawet szukać śla-

<sup>23</sup> Por.: B. Żongolłowicz, *Andrzej Chciuk: pisarz z antypodów*. Kraków 1999 s. 155.

<sup>24</sup> L. Rydzyńska, *Profesjonalna i moralna odpowiedzialność biografów*, Archiwum Emigracji. Studia, szkice, dokumenty, 2003 z. 5/6 s. 395.

<sup>25</sup> Tamże, s. 396.

<sup>26</sup> B. Żongolłowicz, *Od podróży do podróży*, [w:] *Losy Polek żyjących na obczyźnie i ich wkład w kulturę i naukę świata. Historia i współczesność. Materiały IV Symposium Biografistyki Polonijnej. Wiedeń, 1–2 września 1999*, pod red. A. i Z. Judyckich. Lublin 1999 s. 361–365.

<sup>27</sup> Tamże, s. 362.

dów w samym Drohobyczu. Ileż wysiłków, czasu i kosztów wymagają takiego rodzaju podróże? W rezultacie tak obszernych poszukiwań książka jest kopalnią wiadomości o pisarzu.

Lilianna Rydzyńska twierdzi, że na tle „imponującego intelektualizmu” literatury światowej, a także „anglojęzycznej” — „nasza literatura nie stanie się nigdy światową”. Oczywiście racja, ale jak można porównywać literaturę polską z poprzednią, gdy naród walczył przez 250 lat o swoje istnienie. Jakby dzisiaj wyglądała elita i literatura angielska, gdyby straciła w czasie II wojny światowej większość warstwy wykształconej, a po roku 1945 wszystkie *manors* czyli dwory zostały zrównane z ziemią, wraz z bibliotekami i archiwami, a ich mieszkańcy wymordowani lub rozprezenterowani na cztery strony świata?

Recenzentka *Pisarza z antypodów* dopatruje się „profesjonalnej i moralnej nieodpowiedzialności biografów” — dlatego, że zacytowano opinię Jerzego Giedroyc’a, iż Chciuk był „dobrym pisarzem drugiej klasy”. Czyżby biograf miał obowiązek ukrywania przed czytelnikiem, że istniały oceny i głosy krytyczne? W moim pojęciu Chciuk zaistniał na emigracyjnym firmamencie przede wszystkim dzięki Giedroycowi, który wydał jego pierwsze książki i dał mu nagrodę. Sam Chciuk nazywał Giedroyc’a swoim mecenasem.

Czyż mecenas nie miał prawa zwracać uwagi swemu pupilkowi na potknięcia i tylko zasypywać go samymi pochwałami? W końcu listopada 1969 r., Giedroyc napisał do Chciuka:

[...] miałem od początków naszej współpracy dużo nadziei na rozwój Pana talentu i bardzośmy sobie z Jerzym Stempowskim dając Panu nagrodę dużo obiecywali<sup>28</sup>.

Po dwunastu latach nawiązania współpracy z Giedroyciem Chciuk miał na swoim koncie *Smutny uśmiech* (1957) i *Rejs do Smithton* (1960), wydane przez Instytut Literacki w Paryżu oraz *Pamiętnik poetycki* (1961) drukowany w Melbourne. W tym czasie, dopiero składanej w Londynie *Atlantydy* Giedroyc jeszcze nie czytał.

Nie wydaje mi się trafna uwaga Rydzyńskiej, że istniał wyraźny podział między ośrodkami wydawniczymi w Paryżu i Londynie oraz selekcja autorów. Chciuk wydał trzy książki w Paryżu, cztery w Londynie i jedną w Toronto. Pisywał też zarówno w „Kulturze” jak „Wiadomościach”, nieraz w zmianę, a redaktorom ani czytelnikom to nie przeszkadzało. Także Zbigniew Jasiński wysyłał utwory z Australii do obu czasopism.

Dlatego też nie bardzo rozumiem jakie to niesprecyzowane

istniały dwa rodzaje podejścia do twórczości emigracyjnej i jej publikacji: paryskie — które reprezentował Instytut Literacki i „Kultura” w osobie wydawcy-redaktora Jerzego Giedroyc’a oraz londyńskie — reprezentowane przez „Wiadomości” i kontynuowane przez takich redaktorów jak Mieczysław Grydzewski i Michał Chmielowiec — aż do objęcia redakcji przez Stefanię Kossowską, która to podejście zmieniła i bliskie stosunki redaktorów z twórcami zaniedbała — a także wydawnictwo Polska Fundacja Kulturalna z jej kierownikiem Juliuszem Sakowskim<sup>29</sup>.

To przydługie, jak na mój gust, zdanie nie wyjaśnia na czym polegało „podejście” i co miało wspólnego z Chciukiem? Wiadomo było, że tygodnik „Wiadomości”, utrzymując swoje przedwojenne tradycje był pismem bardziej literackim, pokazującym, jak w zwierciadle, życie twórcze pisarzy i artystów polskiej diaspory. Miesięcznik „Kultura”, oprócz ambicji literackich był nastawiony na zagadnienia polityczne i próby działania na Kraj.

Nie jest dla mnie jasne dlaczego „podejście zmieniła i bliskie stosunki zaniedbała” Stefania Kossowska. Korespondowałem z trzema kolejnymi redaktorami „Wiadomości” w latach 1952–1981. Grydzewski należał do pokolenia mojego ojca, toteż dzielił nas pewien dystans, ale listy były zawsze uprzejme i miłe. Chmielowiec, tylko rok starszy ode mnie, nawiązał korespondencję może bardziej serdeczną i koleżeńską. Listy Stefani Kossowskiej były równie serdeczne i zawsze zachęcające do współpracy. Sytuacja jej była trudniejsza niż poprzednich redaktorów, gdyż wykruszała się „stara gwardia” emigracji londyńskiej, udzielając coraz mniejszej pomocy, a również spadała liczba prenumeratorów i kurczyły się dochody. Stefania Kossowska oprócz redagowania tygodnika musiała zajmować się sprawami, którymi jej poprzednicy nie kłopotali się.

<sup>28</sup> B. Żongołłowicz, *Andrzej Chciuk*, s. 155.

<sup>29</sup> L. Rydzyńska, *Profesjonalna i moralna*, s. 398.

Powiada Rydzyńska, że:

Nigdy też ani Grydzewski, ani Chmielowiec, ani Sakowski nie byłiby zdolni i nie pozwoliliby sobie na takie opinie o pisarzach, jakie o Chciuku (i na pewno o innych) wyrażał Jerzy Giedroyc — a które teraz za sprawą biografą Chciuka poznaliśmy<sup>30</sup>.

Jestem pewny, że wymienieni trzej znakomici redaktorzy wyrażali różne opinie o pisarzach i na to sobie pozwalali. Nie mam możliwości, ani najmniejszej ochoty, wertowania korespondencji Grydzewskiego pod tym kątem, ale przypomniałem sobie jak Stanisław Cat-Mackiewicz strofował redaktora „Wiadomości”:

Od wielu lat odgrywa on decydującą rolę w ustalaniu hierarchii talentów w literaturze polskiej, on robi gwiazdorów pierwszej i drugiej wielkości, on przenosi na emeryturę, on skazuje na nicość, on wreszcie, jeśli chodzi o pisarzy początkujących, zamyka lub otwiera przed nimi drzwi<sup>31</sup>.

Co do Chmielowca to polecam, jeśli kogo to interesuje, uważne przeczytanie jego recenzji pod tytułem „*Pamiętnik poetycki*” *Andrzeja Chciuka*<sup>32</sup>. Chmielowiec nie zachwycał się zbytnio poematami, a recenzję zakończył zdaniem: „A jeśli idzie o rangi, myślę że zwłaszcza w prozie Andrzej Chciuk już wnet dosłuży się gwiazdek rotmistrza”. Było to nawiązanie do posłowania umieszczonego na obwolutie omawianej książki, gdzie Chciuk niefortunnie przywołał „facetów uważających się za generałów”, a sobie zostawił skromnie rangę „ulana”. Dzielenie pisarzy na klasy czy rangi wojskowe nie ma dla mnie żadnego sensu. W tym jednak wypadku została zastosowana gradacja rang wojskowych, która jak wiadomo dzieli się na trzy klasy, generalicja, oficerowie sztabowi i oficerowie młodszy, włączając kapitanów i rotmistrzów. Już po czterech latach od ukazania się *Rejsu do Smithton* Chmielowiec obiecywał Chciukowi, że „dosłuży się gwiazdek rotmistrza”.

W biografii Bogumiła Żongolłowicz nie umieściła żadnych krytycznych uwag Sakowskiego. Jej znajomość tematu jest nieporównanie większa jak niżej podpisanego. Uniwersytet Macquarie w Sydney nadał Bogumile Żongolłowicz tytuł doktora za pracę „*Obraz Polonii australijskiej w twórczości Andrzeja Chciuka*”. Zapewne jego emigranckie opowieści zostały tam wykorzystane i ocenione.

W mojej bibliotece zająłem przypadkowo do książki *Kulisy twórczości: Listy 14 pisarzy emigracyjnych do Juliusza Sakowskiego 1945–1977*, wydanej przez Księgarnię Polską w Paryżu (bez daty!). Znalazłem tam osiem listów Chciuka pisanych do swego drugiego mecenasa oraz list z 1972 roku, pisany do Sakowskiego przez Jana Frylinga, lwowianina, laureata, a potem członka jury Nagrody „Wiadomości”, który talentem Chciuka nie zachwycał się (s. 63).

Pisarze z prawdziwego zdarzenia nie powinni bać się krytyki. Pamiętam, jak na wieczorze autor-skim, który miał miejsce w Domu Sodalicyjnym na przedmieściu Richmond, w Melbourne, a tematem był rodzaj przeglądu literatury polskiej, Chciuk wyraził się: „*Quo Vadis ta katolicka szmira!*?”. Nikt ze słuchaczy nie skrzywił się, a książkę Józef Janus nawet uśmiechnął się pod nosem. Obecni byli pewni, że tego rodzaju krytyka nie odbierze Sienkiewiczowi Nagrody Nobla, ani czytelników.

Nie wątpię, że Chciuk zostawił Liliannie Rydzyńskiej miłe wspomnienia. Potrafił być prawdziwie czarujący. Doświadczyłem tego, gdy zapukał do drzwi, jeszcze na przedmieściu Elsterwick. Przyjąłem go, jak każdego rodaka, który przekraczał próg mojego domu, z otwartym sercem. Potem byłem chyba pierwszy, który przedstawił go czytelnikom na łamach prasy w najbardziej życzliwych słowach. Niestety nawet najbliższych przyjaciół jak Andrzej Gawroński, Roman Gronowski, Zbigniew Jasiński i szkolny kolega Tadeusz Leżoń, uszanować nie potrafił i wielokrotnie popadał z nimi w konflikty.

W zakończeniu swojej recenzji Rydzyńska po czterech stronach wypominania braków, uchybień i niewłaściwości, zaskakuje pochwałami: „jak to dobrze, jak wspaniale, że Bogumiła Żongolłowicz sprawiła, iż nasz własny w Australii pisarz Andrzej Chciuk znów znalazł się między nami i na półkach naszych bibliotek!”<sup>33</sup>.

<sup>30</sup> Tamże.

<sup>31</sup> R. Habielski, *Niezłomni nieprzejednani: emigracyjne „Wiadomości” i ich krąg 1940–1981*. Warszawa 1991 s. 176.

<sup>32</sup> M. Chmielowiec, „*Pamiętnik poetycki*” *Andrzeja Chciuka*, *Wiadomości* 1964 nr 10 s. 3.

<sup>33</sup> L. Rydzyńska, *Profesjonalna i moralna*, s. 399.

Czyż zatem wielbiciel twórczości *Pisarza z antypodów* nie powinni wyrażać autorce biografii wdzięczności za jej trudy i dobrą książkę, zamiast gorzkich żalów?

Lech Paszkowski (Australia)

## Wiktor Trościanko (1911–1983)

Na marginesie książki *Aparat bezpieczeństwa wobec emigracji politycznej i Polonii*, pod red. R. Terleckiego. Warszawa 2005.

W latach 1918–1939 Polacy kresowi (z ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej) nazywali siebie „kresowiakami” lub znacznie rzadziej „kresowcami”. Wyraz „kresowianin” nie był im wtedy znany, choć kobiety kresowe nazywano „kresowiankami”. Od reszty Polaków odróżniali się nie tylko manierami i wymową, zresztą wcale nie jednolitą, lecz przede wszystkim postawą. Zamieszkując ziemie, na których przeważnie nie stanowili etnicznej większości, zabiegali o ich polskość kulturalną, a przynajmniej cywilizacyjną. Gdy dla pozostałych Polaków polskość była czymś naturalnym, dla nich stanowiła tradycję stałego wysiłku na rzecz utrzymania przynależności narodowości niepolskich do państwa polskiego.

Takim „kresowiakiem” był Wiktor Trościanko, poeta, prozaik, działacz polityczny, radiowiec.

Urodził się w Wilnie 24 października 1911 roku. Należał do pokolenia, które się ukształtowało już w Polsce niepodległej, ale pamiętało z lat dziecięcych życie pod zaborem rosyjskim na „ziemiach zabranych”.

Do czasów Polski międzywojennej zachowali się jeszcze na Wileńszczyźnie Litwini w dawnym słowa znaczeniu, obywatele Wielkiego Księstwa Litewskiego, stanowiącego składową część przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Uważali się za Litwinów, będąc gorącymi patriotami polskimi, języka litewskiego nie znali. Takim Litwinem był Józef Piłsudski.

Litwinów w nowoczesnym, kowieńskim słowa znaczeniu, było na Wileńszczyźnie niewiele. W trzech województwach północnych: wileńskim, nowogródzkim i białostockim było ich tylko 84 tysiące (na 3 miliony 597 tysięcy ludności).

Trościanko był Polakiem i do Litwinów „kowieńskich” odnosił się z wielką niechęcią. Zawsze wspominał Wilno i Wileńszczyznę jako polską własność. Skłonił się wprawdzie do ogólnopolskiej wymowy literackiej, powracał jednak do swojej wileńskiej zawsze w chwilach podniecenia lub gniewu, jak ja do swojej ukraińskiej z Podola Wschodniego. W towarzystwie układny, miły i wesoły, bywał jednak gwałtowny w słowach, gdy ktoś go rozdrażnił. Lepiej było z nim nie zaczynać słownych utarczek, bo nie pozwalał sobie w kaszę dmuchać.

O jego latach szkolnych i akademickich wiem bardzo niewiele. Uczył się w Wilnie, ukończył gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta i prawo na USB. Jako wolny słuchacz uczęszczał też na wykłady polonistyczne, jako że żywo interesował się literaturą piękną. W latach studiów obserwował działalność tzw. lewicy akademickiej, której przewodzili Stefan Jędrzychowski i Henryk Dembiński. Niektórzy działacze prawdziwie polscy, szczerzy niepodległościowcy lecz zarazem liberalowie, bronili ich jako ludzi dobrej woli o radykalnych poglądach społecznych. Trościanko uważał ich po prostu za komunistów i agentów Związku Sowieckiego. Miał rację, co potwierdził bieg wypadków wojennych, gdy w 1939 r. Sowiety zajęły Wileńszczyznę.

Zetknąwszy się przed wojną z bezbożnym uniwersalizmem komunistycznym, znalazł nań odpowiedź w ideologii narodowo-demokratycznej, więc w uniwersalizmie chrześcijańskim, ale zacieśnionym do zadań rozwoju narodu polskiego. Do Stronnictwa Narodowego wtedy jednak jeszcze nie należał.

W roku 1932, jako student drugiego kursu prawa, rozpoczął Trościanko pracę radiową. Jednocześnie założył i redagował tygodnik „Sprawy Otwarte”. Stał się publicystą politycznym.

Po ukończeniu kursów uniwersyteckich przeniósł się do Warszawy. Zaangażowany przez Polskie Radio, stworzył „Tygodnik Radiowy”. Niebawem miał już sporo słuchaczy, był radiowcem znanym i cenionym.